Nr 9. Kraków 1 maja 1869. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycyja dla miasta Krakowa w księgarni J. Czecha hotel dreździeński.

Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny — w Krakowie.

☛ Do dzisiejszego Nru dla prenumerujących załącza się rycina **mód** oraz arkusz krojów.

Alfons Lamartine

SZKIC BIOGRAFICZNO-LITERACKI

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

Ce qu'il y a de meilleur dans notre coeur n'en sort jamais.

LAMARTINE.

Od r. 1820 tak stanowisko poety w przeciwstawieniu do materji, jak szczególnie jego mniemana godność zupełnie się przeobraziły; czy na korzyść poezji, to jest kwestja nie łatwa do rozstrzygnięcia. Osobistość poety bez wątpienia dużo straciła, gdyż jeżeli duma poety wzrosła po nad jego powołanie i po nad geniusz w nieskończoność, to z drugiéj strony stracił on zdrowe poczucie godności, które go dawniéj czyniło ulubieńcem i w pewnéj mierze kierownikiem społeczności. W świecie widzi on swego nieprzyjaciela, a chociaż sobie pochlebia, że go ma pod swemi stopy, jednakowoż czuje samotność owego boskiego posłannictwa, jako coś chorobliwego. Francuzcy poeci współubiegają się z niemieckimi o to, aby swe powołanie, które jednak jako najwznioślejsze na świecie uważają, przedstawić zarazem jako nędzę i przekleństwo; odgrywają oni mniéj więcéj rolę Kassandry, którą Bóg powołał, aby objawiała cudowne rzeczy, lecz nikt ich nie szanował. Wszelako w naszym zmaterjalizowanym świecie nie możemy tego przeciwieństwa tak eterycznie pojmować, jak za czasów Greków. Kassandra obwieszcza upadek swemu narodowi i staje się nieszczęśliwą, ponieważ przestroga jéj nie skutkuje. Tak samo rzecz się ma z naszymi poetami. Według ich przekonania boskie posłannictwo poety winno się także w swym zewnętrznym blasku objawiać, świat powinien im kadzidła palić, albo raczéj, wyrażając się prozaicznie — powinni w jedwabie i aksamity ubrani spożywać żółwie zupy i indyjskie gniazda ptasze. Miasto zaś tego świat pozwala im z głodu umierać, gdy tymczasem pospolici wyrobnicy mnożą skarby i bogactwa. Przeciwieństwo to objawia się szczególnie w nowo-francuzkim romantyźmie. Z jednéj strony poeta goni za najwyższemi ideałami nieprzystępnemi motłochowi, któreby chyba bezbożna zuchwałość chciała zrozumieć, sztuka jest dla niego najwyższą świątnicą, któréj tylko bramini strzedz winni — z drugiéj strony rozczarowanie w zewnętrznym skutku pobudza go łatwo do tego, iż, aby swéj godności nadać blask zewnętrzny, używa środków właściwych znienawidzonym jego współzawodnikom. Tym sposobem spostrzegamy dość często przykre zjawisko, iż poezja w téj saméj chwili, w któréj się zdaje uganiać za najwznioślejszemi ideałami, zaprzedaje się najpospolitszemu przemysłowi. Przemysł ten staje się tém więcéj pospoliszym, że spekuluje na najświętsze uczucia i w rachunek swój zalicza chwilowy kurs, jaki mają na giełdzie idee chrystianizmu, wolności, miłości i ludzkości. Spostrzegamy to nie tylko u mężów jak Balzac, lub Eugeniusz Sue, ale także u właściwych proroków idealizmu, jak Lamartine i inni.

Dawniéj było zadaniem poety, aby to, co zdrowy ludzki rozum narodu, wiedza i oświata osądziły, przedstawić w doborowych, dowcipnych, pełnych ducha i wzniosłych wyrażeniach. Zaszło to tak daleko, iż w końcu poetyczną formę uważano za przeszkodę — i słusznie, gdyż te same myśli można było wyrazić więcéj przekonywująco prozą. Od czasu zaś Chateaubrianda zrodziło się w poetach to przekonanie, że poezja powinna przedstawiać nietylko inną formę, ale i inną treść, niż rzeczywistość. Z natury rzeczy wynika, że w przechodowéj epoce gwałtownéj reformy, zwykle przeciwieństwa dochodzą do excentryzmów. Wymagano od poezji, aby była nietylko odmienną od rzeczywistości, ale nawet zupełnie jéj przeciwną. Jeśli co, to właśnie poetyckie ideały, wielkiéj podpadają zmianie. Raz postępując według zasady, iż sztuka sama jest celem, przypisują poecie prawo naśladowania wprost podszeptów jego humoru — gdyż cokolwiek zrodzi się w jego umyśle, nosi już tém samém na sobie chryzm natchnienia i obywatelskie prawo w dziedzinie sztuki; to znów żądają od poezji, aby nie usuwała człowieka z życia, ale objawiała mu jego świętości. Najprzód uważają ją jako służebnicę religji, wkrótce jednak wzrasta jéj ambicja i poezja gotowa jest zająć miejsce

religji. Dla Francji było to koniecznie potrzebném, aby raz serce odetchnęło i uwolniło się z paraliżujących więzów konweniencji; i dla tego nie można jéj zbyt surowo sądzić, jeżeli czasem wolności swéj nadużyła. Dawniejsza kultura francuzka wykluczyła z poezji jako i życia marzenie, a przecież sfera marzeń zawsze będzie właściwą dziedziną poety. Ruch ten literatury odkrył Francuzom nowy świat idei i usposobienia, które ich życie więcéj olśniły i ubarwiły. Całość zaś zyskała przez to chaotyczny pozór, odpowiadający anarchji obyczajów. Każdy pojedynczy poeta uważał się za powołanego i zdolnego objawiać spółeczności nowy świat ducha i serca, czuł się wieszczem i prorokiem, od którego dopiero świat winien się uczyć, jak ma urządzić swe stosunki. Poeta wydzielał sobie wyjątkowe stanowisko ze względu na zwyczaje i prawa, późniéj zaś ogłaszał subjektywne swe natchnienie jako wyznanie i ideał przyszłości, ustanawiał bóstwo, przed którém późniejsze pokolenie bić miało czołem. To jego zbyteczne przywiązywanie wagi do wszelkich drgań i ruchów własnego wnętrza, doprowadziło go nietylko do czczéj próżności i nieusprawiedliwionéj ambicji, ale nawet do kłamstwa wobec siebie i innych. Często nie było to niczém innem, jak tylko reminissencją, która ponętnym dźwiękiem wciskała się w jego duszę, a w któréj zdawało mu się słyszeć głos Boga. Poeta znajdował licznych zwolenników, tém więcéj, iż skłonność do melodji coraz bardziéj w narodzie się wykształcała, a to czyniło go niezdolnym do własnéj krytyki. Za mało wykształcony, aby swe własne zapatrywania djalektycznie sprostować i uzupełnić, pochlebiał sobie tém urojeniem, że nosi w swém wnętrzu absolutną prawdę; i tym sposobem powstała w społeczeństwie owa przepaść między poetycznym a prozaicznym światem, która o wiele głębszą i szkodliwszą była, niż przepaść między kościołem a świeckimi, ponieważ poetyczne kapłaństwo świata daleko mniéj esencji posiadało. Najwięcéj mściła się ta fałszywa miłość własna na formie. Jeżeli dawniéj zanadto uważano na sztukę tj. na wewnętrzną stosowność obrazów, grup i figur— to znów teraz zbyt je lekceważono i spuszczano się na improwizacje, które tém prędzéj straciły swą miarę i prawo, im więcéj ich produkowano. Nieumiarkowanie jest najgorszym grzéchem nowéj poezji, która zaczęła najpiękniejszemi obietnicami, a skończyła ogólną chorobliwością.

Na czele tego ruchu stoi poważna osobistość, na którą przychodzi z wielką trudnością wydać surowy wyrok potępienia. Długo Francuzi ociągali się z wyjawieniem wręcz oczywistych błędów a nawet ciężkich grzechów *Lamartina*. Był on ulubieńcem i ideałem młodzieży, a naród o ile możności jak najdłużéj wstrzymywał się od wszelkiéj krytyki. Że zaś jego najnowsze pisma stały się przedmiotem najpospolitszego przemysłu, to już wątpliwości nie podpada; daleko trudniéj jest rozwiązać to pytanie, czy najnowsze wyjaśnienia o jego charakterze, sercu i wykształceniu można również zastósować do jego dawniejszych płodów. W najnowszym czasie zakorzenił się jakby jaka zaraźliwa choroba we francuzkich sławnych mężach i kobietach, nałóg publikowania swych pamiętników, czém naturalnie bez wyjątku uwłaczali oni swéj sławie. Przykre to bowiem uczucie, jeżeli poeta obrazy swéj imaginacji które narodowi stały się drogiemi, anatomizuje własną ręką i rozczynia je w ich żywioły, zamiast pozostawić o krytykowi i historykowi. Gorszą od tego jest chorobliwa próżność i brak prawdziwego uczucia, jaki się przebija niemal we wszystkich tych pamiętnikach. Żaden z nich nie przedstawia czystéj prawdy, każdy stara się zidealizować swe życie i siebie samego otoczyć jakąś aureolą; ztąd nie dziw, że właśnie dla tego poeta w swych pamiętnikach daleko gorszym się przedstawia, niż w swéj dawniejszéj poezji i w rzeczywistém życiu. Najgorzéj zrobił Lamartine; i jakkolwiek to się zdawać może, nigdy na to przystać nie możemy, aby wyznań jego używać jako komentarza do jego utworów. Pieśniom jego najwięcéj rozgłosu sprawiło owo rozlewające się gorąco uczucia, z jakiém wygłaszał swe idee. W pamiętnikach zaś wyjawia nam, aby uwydatnić swą wielką twórczą potęgę, że to gorąco było tylko sztuczne, że jego przywiązanie do idei religji itd. nie było niczém innem, jak tylko uprzywilejowanym środkiem artystów. I w tém zapewne gra ważną rolę próżność, ale tyle przynajmniéj poznajemy, że jego idee nigdy stale ani głęboko nie zakorzeniły się w jego umyśle: przekonujemy się o tem tém więcéj, jeżeli z tym komentarzem weźmiemy poemata jego do ręki. Wyjaśnienie to byłoby i bez jego wyznania na jaw wyszło, ale on je sam mimowolnie przyśpieszył.

Alfons de Lamartine, syn niezamożnego szlachcica urodził się 21 października 1790 r. w ojcowskim zamku Milly w hrabstwie Burgundji, z ojca szlachcica staréj daty, pułkownika jazdy za Bourbonów, właściwe nazwisko tegoż było *de Pradt*, a młody Alfons przybrał nazwisko Lamartine, pod którém taką zdobył sławę. W wspomnieniach jego dziecięcych lat, w których najzwyczajniejsze wypadki szumnemi szkicuje wyrażeniami, jest najcharakterystyczniejszym portret jego matki. On retrouve en elle ce sourir intérieur de la vie, cette tendresse intarisable de l'ame et du regard et surtout ce rayon de lumière si serein de raison, si imbibé de sensibilité, qui ruisselait comme une caresse éternelle de son oeil un peu profond et un peu voillé comme si elle n'eut pas voulu laisser jaillir toute la clarté et tout l'amour qu'elle avait dans ses beaux yeux... ses traits sont si délicats, ses yeux noirs ont un regard si candide et si pénétrant; sa peau transparente laisse tellement apercevoir sous son

tissu un peu pâle le bleu de veines et la mobile rongeur de ses moindres émotions; ses cheveux très-noirs, mais très fins tombent avec tant, d'oncìements et des courbes si soyeuses le long de ses joues jus'que sur ses épaules qu'il est impossible de dire si elle a dix-huit ou trente ans. — Czytając to, zda się, jakbyśmy mieli w rękach romans Balzaca, z tą chyba różnicą, że matka charakteryzowana w powieści przez Balzaca nie jest jego własną. U Lamartina ta nietaktowność sięga jeszcze wyżéj: mówi bowiem daléj: „Z tego portretu pojąć można namiętność, jaką taka kobieta w mojego ojca, i dziecinną miłość, jaką w swych synów wpoić musiała“. Kto tak może pisać, ten nigdy nie zaznał uczucia dziecinnéj miłości, w ogóle poważnego, przyzwoitego uczucia. Staje on się tém śmieszniejszym, że bezpośrednio po tém scharakteryzowaniu przedstawia siebie samego jako podobny obraz swéj matki; duch ten nieprawdy i próżności przebija we wszystkich jego obrazach, w najdrobniejszych szkicach. Tak np. opowiada, jak raz z wiejskiemi chłopięty bawił się w wodzie i dodaje: „Woda jest żywiołem smutku. Super flumina Babilonis sedimus et flevimus. Dla czego? Bo woda płacze z całym światem. Jakkolwiek mali, wzruszeni byliśmy szmerem strumyka“. Jestto już emancypowany Lamartine rewolucji, który wpośród ognia z barykady mówi o swych łzach, aby publiczności zaimponować uczuciem. „Byłem wtenczas jednem z najpiękniejszych dzieci, jakie kiedykolwiek bosemi nogami po kamiennych naszych górach stąpały. Modre oczy, jak méj matki, czyste i prawie rzymskie rysy, złagodzone poważnym nieco wyrazem; twarz jaśniejąca promieniem wewnętrznéj radości, nader delikatne, lśniące brudno-kasztanowate włosy, które w gęstych kędziorach spływały na moją ogorzałą szyję, wzrost wysoki; zręczne i pełne wdzięku ruchy, zbytnia delikatność cery, w której krew i mleko zdawało się płynąć; słowem konterfekt mojéj matki. Szczęśliwe kształty, szczęśliwe serce, szczęśliwy charakter — nie miałem naturze nic do zarzucenia“. Téj fizycznéj doskonałości odpowiadała także moralna. „Matka moja żądała tylko odemnie, abym był dobry i prawy. To mi nie czyniło żadnéj trudności. Dusza moja, która tylko dobrem oddychała, nie mogła nic innego wydać z siebie. Nigdy nie potrzebowałem walczyć ani z sobą samym, ni z kimkolwiekbądź“. Pierwszych nauk udzielano mu wśród gry i zabaw; równie mało miał poznać powagę szkoły, jak i powagę życia. Matka uczyła chłopca podrastającego czytać w biblji ozdobionéj rycinami, obrazki zakrywając ręką. Jeżeli mały Alfons dobrze czytał, pokazywała mu matka potém ryciny — wyjaśniając ich znaczenie. Takie lekcje wpoiły w serce Alfonsa głęboką religijność i wznieciły w nim oraz żądzę zwiedzenia miejsc świętych i grobu Zbawiciela. Co matka bowiem dzieciom powiada, to tkwi w sercu i nie zagaśnie nigdy; gdyż ani wichry namiętności, ani burze nieszczęść nie zdołają wygładzić ziarna zasianego w duszy młodéj staraniem matki. Oprócz biblji czytał także dzieła pani Peulis, Berquina (francuzkiego Gessnera), ułamki z Fenelona, Bernardyna de St. Pierre, „Jerozolimę wyzwoloną“, Tassa, Rasyna i niektóre tragedje Woltera. U małego Pytagorejczyka wpajano nawet wstręt do potraw mięsnych, i sam zapewnia, że aż do 12 roku samemi tylko żył owocami, a nawet aż do śmierci, chociaż się już zastósował do zwyczaju świata, zachował to przekonanie, że zabijanie zwierząt jest niemoralnością.

Matka jego była jedną z tych kobiet, które nie z wyżyn swego ducha, ale z wysokości swéj duszy spoglądały na świat prozaiczny. W ciągłych swych pamiętnikach skréśliła ona swe potajemne obcowanie z Bogiem. Z tych pamiętników syn jéj zachował 15—20 tomów. Mąż jéj, o którym w *Confidences* zaledwie wzmiankę znajdujemy, zdawał się czcić i uwielbiać tę piękną zrezygnowanym hołdem, tak jak to przystoi na żołnierza, którego widnokrąg nie sięga już poza zakres jego mundura. Wszystkie jéj myśli i mowy odnosiły się do Boga, któremu wszystko piękne i dobre należy przypisać. Na to wewnętrzne obcowanie z Stwórcą poświęcała ona jednę godzinę dziennie i jednę oznaczoną aleję w ogrodzie, zamkniętą dla profanów. „Co Bóg mówił do téj duszy, wie tylko On sam; cokolwiek ona zaś mówiła do Boga, byłto albo poważny żal za lekkie błędy, jakie w swych dziennych obowiązkach popełniła, delikatne zarzuty, które sama sobie czyniła, aby jéj stanowisko coraz więcéj odpowiadało łasce bożéj; albo namiętne podzięki za małe szczęście, jakiego jéj Opatrzność udzielała; lub zachwycające rozmyślania nad wielkością firmamentu, grupami gwiazd, pięknością pory roku, budową kwiatów, owadów itd. Wszystko to zachowane było w jéj sercu jak pierwiosnki na ołtarzu i płonęło ogniem młodzieńczego zapału, wyrażającego się w oczach, słowach i ruchach, a który kwiaty i gwiazdy przejmowały“. Nawet chód i postawa w któréj to nabożeństwo odprawiała, miały w sobie coś imponującego. Nabożeństwo to, które należało do jéj natury, jak poezja, starała się wpoić w swe dzieci; w każdéj porze dnia zachęcała je do modlitwy i do wyrażenia swych uczuć, szczególnie w czasie pięknego powietrza, aby im ten obowiązek uprzyjemnić. Wieczorem czytano zgromadzonym domownikom nabożne książki.

W 10 roku życia oddano Lamartina do wiejskiéj szkoły w Bussierès. Ksiądz Dumont, który mu nauk udzielał, wpoił w młodego chłopca zasady encyklopedystów. Późniéj posłano go do jezuickiéj szkoły w Bellay na granicy Sabaudji do kollegjum księży *de la Foi*. Kollegjum to różniło się zupełnie od żołnierskiego wychowania w cesarskich liceach, gdzie Bonaparte

chciał myśli całéj Francji ubrać w uniformę, a naród przyzwyczaić do komendy. Szlacheckie familje, które go nienawidziły, posełały tutaj swych synów z Francji, Sabaudji, Niemiec i Polki. Około 300 chłopców ze wszech stron pobierało tu pobożne i liberalne wychowanie". „Tutaj poznałem wartość nauki, któréj w imię Boże z religijném poświęceniem udzielano. Znalazłem znów Boga, czystość, modlitwę, chrześcijańską miłość, miły, ojcowski dozór, życzliwy ton familijny. Chętnie schylałem się pod jarzmo, które znakomici nauczyciele robili tak słodkiém i lekkiém. Dusze nasze wzniosły się w w swym naturalnym prądzie do dobra i piękna; religijne uczucie stało się dla nas najdroższém, a miłość Boga namiętnością". „Moja fantastyczna skłonność do przyrody zespoliła się w méj duszy z niebiańskiemi myślami i wizjami. Luba melancholja rzuciła zasłonę na moją naturalną swobodę i nadała mym myślom i głosowi poważny nastrój. Wrażenia moje były tak silne, iż się stały bolesnemi. Ten nieoznaczony smutek, jaki we mnie wszelkie ziemskie rzeczy wzbudzały, zwrócił duszę moją do nieskończoności. Częste modlitwy, rozmyślania, ofiary, wciąż powtarzane ceremonje, podniesione do tego jeszcze wspaniałością ołtarzy, ubiorów, śpiewów, kadzidła, kwiaty, wywierały na mój rozwój wpływ zmysłowy, podobnie jak religijny szał na wschodzie. Kapłani odprawiali to nabożeństwo w całéj pełni swéj wiary. Skromność ich wpajała we mnie poczucie mojego obowiązku, rozkosz medytacji i modłów, przyzwyczajenie do wewnętrznego skupiania ducha, i extazę w modlitwach i uwielbianiu, jaką chyba z pierwszą miłością można porównać". Teraz znów następuje odbicie jego własnej istoty. „Uczuciami temi fizjognomja moja coraz się rozwijała. Miejsce dziecinnéj lekkości zajmowała uprzejma i łagodna powaga, w oczach i twarzy przebijały się myśl, duch i prostota. Wyglądałem jakoby posąg młodości, który na chwilę zdjęto z ołtarza, aby go jako wzór pokazać młodzieży. Moi współkoledzy zbliżali się do mnie z pewną czcią i kochali mnie z bojaźnią". „Najszczęśliwsze chwile spędzałam w wieczór, kiedy odrywając się od zabaw, wchodziłem tajemną furtką do kościoła. Ukrywałem się wtedy poza filarem, zasłaniałem płaszczem, opierałem me czoło na zimnym marmurze ballustrady, zapuszczałem się w nieme modły i nie czułem ziemi pod memi kolanami; istota moja przechodziła w Boga, jak atom, który przyciągnięty słońcem ginie w burzliwéj atmosferze, przejrzysta jak eter, lekka jak powietrze, lśniąca jak światło".

(Ciąg d. nast.)

Całus-piosenka.

Piękne dni wiosny pełne uroku,
Piękna błękitu dal...
Ale piękniejszy błękit w jéj oku —
W niém widać jasno jakby w potoku
Duszę namiętną,
Co każde tętno
Wzrusza, na radość i żal.

Wznoszą się szybko fale strumienia,
Gdy po nich wicher mknie...
Lecz silniéj wznoszą jéj pierś westchnienia,
Gdy w czarodziejskie wpadnie rojenia.
Duma i marzy —
A łzy po twarzy
Spadają w krople dwie.

Piękna jest barwa krasnych korali;
Lecz gdzież w nich ognia znak?
Jéj usta mają barwę korali,
Jéj pocałunek rozkoszą pali —
Ust jéj dotykam,
Całus połykam...
Ach! jeszcze, jeszcze tak!...

Pieśni! w ostatniéj życia godzinie
Takiém wspomnieniem graj!
Luba! niech wtedy twa postać spłynie,
Niech me stygnące ciało owinie
I czarująca
Na sen bez końca...
Taki mi całus daj!...

Kazimierz Gliński.

CARL.

(NAJNOWSZA POWIEŚĆ p. *George Sand.*)

(Dokończenie.)

Skromne śniadanie spożyte w smutném milczeniu pokrzepiło nieco moje siły — rzuciłem się na łóżko i kilka godzin spokojnie przespałem.

Jednakże miniona noc, tak dziwacznie przepędzona w kościele zostawiła mi tyle przykre, i takim strachem przejmujące mię wrażenie — że postanowiłem natychmiast porzucić F..., a choć dzień już był na schyłku i trzeba nam było zrobić cztéry mile, żeby dotrzeć do miejsca noclegu — natychmiast wyruszyliśmy w drogę do T....

IV.

Jeszcześmy połowy drogi nie uszli — kiedy gwałtownie powstały wicher pokrył horyzont ciężką fioletową powłoką, ktora w gnieniu oka niebo osłoniła. — Grube krople deszczu szumiały w powietrzu i topiły śnieg służący za wątły wał ścieżce, po której milcząc postępowaliśmy jeden za drugim. — Znajdowaliśmy się na najwyższym przesmyku góry Bremer — i choć w samym środku lata — zimno nam dotkliwie zaczęło dokuczać.

Wkrótce usłyszeliśmy pierwsze grzmoty zapowiadające srogą burzę — pioruny krwawemi łunami oświecały tylko naszą drogę — a wiatr tak się wzmocnił, że już dalej prawie nie można było postępować. Przebywaliśmy właśnie najniebezpieczniejszą krainę lodów— a młody mój przewodnik zachęcając mię do pośpiechu utrzymywał, że tylko dotarciem do pasu jodeł okalających niższą część skał — możemy się zasłonić od grożącéj nam lawiny.

Udało nam się wydostać szczęśliwie z tego niebezpiecznego przesmyku. Rozbijając się o las jodeł wicher zaczął łagodnieć — burza się uspakajała — i jużeśmy byli pewni ocalenia — kiedy nagle — przelatująca nad nami czerwonawa chmura na poły się rozdarła — i zasypała nas tak obficie i tak grubym gradem, że tylko w pobliżu odkrytéj przez Carla grocie, która nam dała przytułek, zawdzięczać mogliśmy ocalenie od pokaleczeń — a może od śmierci.

Potoki deszczu nastąpiły po gradzie — a kiedy ośmieliliśmy się opuścić nadesłane nam przez Opatrzność przytulisko — po słońcu już nawet śladu nie zostało na niebie. Horyzont pokryty czarnemi i gęstemi chmurami — przeszedł bez zmierzchu od dziennego blasku do ponurych nocnych ciemności. Droga co krok stawała się trudniejszą do przebycia — wzrosłe gwałtownie potoki porozdzielały się na kilka bystrych i huczących strumieni — i za każdym krokiem przerzynały wązki i jedyny przesmyk, jakim musieliśmy postępować.

Kilkakrotnie potknąwszy się o niedostrzeżone w ciemnościach a porozrzucane tu i owdzie po naszéj ścieżce bryły zerwanych skał — upadaliśmy na twardy grunt przesmyku — i w jednym z takich upadków wybiłem sobie silnie i tak już osłabłe ramię. Na domiar złego w chwili, kiedyśmy się znaleźli już na pokładzie piasków usuwających się z pod stóp i poprzerzynanych strumieniami toczącemi się w różnych kierunkach — Carl, który wciąż jako przewodnik postępował przedemną — zatrzymał się nagle i oświadczył mi, że miasteczko, do któregośmy zdążali — a które podług niego miało się znajdować na lewo — pozostało daleko w tyle za nami.

— Nie widzę świateł miejskich — powiedział wpatrując się w ciemnią zawieszoną pod naszemi stopami — musieliśmy zabłądzić....

W tej chwili wiatr przyniósł nam jakiś przygłuszony huk podobny do szumu wodospadu.

— To martwa lawina — powiedział Carl — toczy się powoli po przeciwnéj stronie góry.

Huk nie ustawał.

— Idźmy dalej — szepnąłem.

— Nie! odpowiedział Carl — to nie lawina — to wielka kaskada Śgo Wilhelma — a miasteczko zostawiliśmy za sobą.

Jeżeli kiedy — to w téj chwili pora była stósowną, żeby polecić Carla wszystkim djabłom w opiekę — ale tak byłem zmęczony — że nawet na przekleństwo zdobyć się nie mogłem. Prosiłem Carla, żeby zbiegł nieco na dół i przekonał się na miejscu o prawdzie — a sam oparłem się o wystające na ścieżkę drzewo i popadłem w pewien rodzaj osłupienia.

Dotkliwy ból przebiegający po wszystkich członkach oznajmił powrót gorączki — nogi miałem skostniałe od zimna — głowa tlała od żaru. Nigdy nie mogłem i nie szukałem nawet zdać sobie sprawy — przez jak długi czas Carl przeglądał okolicę — i jak długo pozostałem w téj saméj nieruchoméj postawie. Powróciłem do poczucia rzeczywistości pod wpływem dziwacznego marzenia, która mię niemal o śmierć nie przyprawiło.

Zdawało mi się — że widziałem jak widmo Carla, mego zmarłego przyjaciela podnosiło się groźnie z pośrodka piany, w jaką rozbryzgiwały się wody rozszalałéj katarakty. Widmo wyciągnęło wychudłe, ale muszkularne ramiona — schwyciło w nie mego młodego towarzysza Carla i całą siłą ciągnęło go z sobą w głąb zapienionéj otchłani. Chłopiec szamotał się rozpacznie — i przeciągłym jękiem i wyciągniętemi ku mnie dłońmi zdawał się żebrać u mnie opieki.

Gwałtownym rzutem chciałem podskoczyć ku niemu; ale w chwili, kiedy pochyliłem się już do skoku — oczy moje się rozwarły szeroko — i osłupiałem na widok niebezpieczeństwa, jakie mnie samemu groziło.

Znajdowałem się na saméj krawędzi skał piętrzących się pionowo po nad otchłanią, któréj oko zmierzyć nie mogło. Piętrzące się urwiska formowały rodzaj naturalnych olbrzymich schodów, po których szalonym pędem spadające wody, staczały się o kilka tysięcy stóp w dół, żałosnym jękiem, hukiem i szumem wstrząsając okoliczne echa. Księżyc pękami promieni rozdzierając tu i owdzie dziwacznie nagromadzone i wzajem w szalonéj gonitwie omijające się chmury — blado-niebieskim blaskiem oświecał tę majestatyczną i okropną zarazem scenę.

Nie pewny, czy nie znajduję się przypadkiem pod wpływem snu — kilkakrotnie — całą siłą płuc zawołałem na Carla. Echo tylko w oddaleniu powtórzyło parę

razy to drogie dla mnie imię — ale od chłopca żadnéj nie dostałem odpowiedzi; a przecież wiatru nie było— i tylko przygłuszony huk wodospadu rozbijającego się na dnie otchłani zapełniał noc jednostajnie ponurą harmonją.

Uszyma chwytałem tę dziwaczną harmonją — i pod wrażeniem okropnego przerażenia osłupiały, nie byłem zdolny ani poruszyć się z miejsca — ani zdać sobie sprawy z okropności mego położenia. A jeden krok oddzielał mię tylko od niechybnéj zguby. Najmniejsze poruszenie strącało mię z krawędzi skał — a ciało moje rozbijając się o olbrzymie urwiska wodospadu — byłoby dodało jeden ton do straszliwéj harmonji wód.

W osłupieniu, jakie mną ogarnęło — nie wiem, zkąd, ani wskutek czego pamięć nasunęła mi na myśl religijną pieśń Carla. Natychmiast, zapomniany już sen jaki mię dręczył przed chwilą — znów zaczął przybierać charakter rzeczywistości — a gorączka gwałtownie, wzrastając tak mi pomotała myśli, że utraciłem znów, wolę i przytomność. Jakieś potworne widziadła zaczęły krążyć po mojéj głowie — i wić się przed oczyma — i scena kościelna odbiła się znów w pamięci w tak żywych i rzeczywistych kolorach — że pod wrażeniem pewnego rodzaju szalonego przestrachu sam zacząłem śpiewać początek fatalnego hymnu.

Śpiew mój był naprzód cichy i przytłumiony — jakbym pokorną modlitwą chciał zakląć i odżegnać otaczające mię dokoła duchy ciemności. Powoli wzmocniał i zwyraźniał — jakbym już oswojony z widmami chciał je zaprosić do wspólnego tańca wśród pary wodnéj drżącéj nad przepaścią w niebieskim promieniu księżyca. W końcu — niby uwolniony od więzów skuwających mię z ziemią — całą potęgą nieśmiertelnéj już piersi — zasłałem do nieba pieśń tryumfu i wolności. Ale — jakie ogarnęło mię znów przerażenie — gdy w chwili, kiedym wyśpiewał pierwsze słowa hymnu — głos inny — niby szum jodeł i wodospadu, odpowiedział mi z głębi lasów i ciemności.

A w ślad za tém, jakby wszystkie głosy nocne — wszystkie duchy powietrzne zostały zawezwane do odśpiewania chóru żałobnego hymnu Carla — ze szczytu każdéj skały i z głębi każdéj przepaści — echa zaczęły odpowiadać temu fantastycznemu głosowi, powtarzając za nim na przemian i dobitnie choć coraz słabnącemi tony.

Ostatni dźwięk utonął gdzieś w przestrzeni z taką delikatnością i z taką czystością — z tyle czułém i harmonijném skonał westchnieniem — że zdawało mi się, iż usłyszałem znowu ostatnie westchnienie umierającego Carla — to muzykalne i pełne poezji westchnienie podobne do lekkiego powiewu, jaki w noc letnią z słabym, cichym jękiem struny harfy całuje. — Właśnie te wymawiając słowa — i takie wydając tony i westchnienia — dusza mojego maestro na dziewiczych skrzydłach swéj chrześćjańskiéj muzy, z ziemi do nieba wzleciała.

Wspomnienie to zupełnie uprzytomniło się w mojéj myśli — i złudzenie miało tyle w sobie rzeczywistości, że pobożnie padłszy na kolana wzniosłem ręce do nieba — bo zdawało mi się, że nademną przelatują białe kształty przyjaciela-anioła.

V.

Ponura cisza, przerywana tylko bardziéj jeszcze ponurym szumem wodospadu, znowu zaległa przepaście i szczyty. Dotkliwie dokuczające mi zimno wilgotnéj nocy — a może moje własne moralne szamotanie się, ażeby zapanować nad rozumem i wolą, uspokoiły mię nieco.

Z nadziemskich wyżyn marzenia zstąpiwszy do rzeczywistości — zacząłem znowu niepokoić się na serjo zbyt przedłużającą się nieobecnością mojego młodego towarzysza Carla. Otrząsnąłem z wody płaszcz przesiąkły od deszczu — silniéj wsparłem się na okutéj lasce — i po kilka kroć głosem, na jaki tylko zdobyć się mogłem. zawołałem nań po imieniu.

Nie mogąc doczekać się żadnéj odpowiedzi — widziałem się zmuszony puścić już samotnie w dalszą drogę — i zacząłem zstępować po ścieżce, którą niedawno przebiegliśmy połowę bez żadnéj obawy wpośród nocnych ciemności — a któréj teraz księżycowe światło ukazywało mi co chwila — całą grozę i niebezpieczeństwa.

Za każdym krokiem przeprawa stawała się trudniejszą — każdy niepewnie postawiony krok spychał mię nieodwołalnie aż do dna otchłani — a za każdym krokiem doznawałem wzrastającego zawrotu głowy — i po kilka kroć przedsiębrałem zaniechać już dalszą wędrówkę. Ile razy znalazłem się, po zwalczeniu najśroższych trudności — na naturalnéj platformie niższego wschodu skał — byłem zmuszony chwilę wypocząć — wzmocnić coraz odbiegające mię siły kilku kroplami rumu, w który na szczęście zaopatrzyłem się na drogę — i ponawiałem bezustanne a zawsze daremne za Carlem wołania.

Każdy krok zbliżający mię do głębi otchłani wzmacniał zarazem przerażający mię huk wodospadu — a bezowocność moich poszukiwań wzmacniała zarazem moje o towarzysza podróży niepokoje. Gorzko począłem sobie wyrzucać, żem tak samolubnie na widoczną zgubę naraził mego biednego chłopca — i powoli coraz silniejszego nabierałem przekonania, że biedak musiał runąć gdzieś w głąb przepaści.

Przestałem się już spodziewać, żebym go kiedykolwiek jeszcze mógł żywego oglądać — a już i sił mi w płucach nie stało na wołania — i tylko stąpałem zwolna i ostrożnie — z głową pochyloną ku ziemi,

ażeby choć na jego trupa nie nadeptać. I wszystkie moje dziecinne obawy, wszystkie przesądne przestrachy ustąpiły miejsca rzeczywistéj boleści i szczeréj niespokojności o los towarzysza.

Można sobie wyobrazić zadziwienie i przestrach jaki mię napowrót ogarnął w chwili — kiedy zupełnie mając poczucie wszystkich władz umysłowych i przekonanie o rzeczywistéj méj przytomności — usłyszałem znowu w górze, o jakie sto sążni nad sobą i z miejsca, które niedawno opuściłem — czystym i dźwięcznym ale nierównie silniejszym, jak poprzednio głosem odśpiewaną pieśń dobrze mi znaną.

Boże mój! zawołałem padając na kolana — jeżeli duszom drogich mi umarłych pozwalasz mię nawiedzać — otwórz do głębi władze mojéj duszy — abym z mieszkańcami niewidzialnych światów i ja mógł rozmawiać — bez utracenia rozumu i bez rozsypania się w nikczemny proch, jak pod uderzeniem piorunu.

Prośba ta żywo i gorąco wypłynąwszy mi z głębi serca, dodała mi nieco odwagi. Podniósłem głowę ku miejscu, zkąd tony pieśni zaleciały aż do mnie — i o mało na wznak nie upadłem dostrzegłszy na skałach jakąś lekką fantastyczną postać zsuwającą się szybko po pionowéj prawie krawędzi szczytu. Sam nie wiedząc co czynię zawołałem nań po kilka razy imieniem Carl, ale żadnéj nie otrzymałem odpowiedzi — a widmo ciągle zsuwało się ku mnie po skałach z szybkością prawdziwie nadprzyrodzoną.

Zjawisko to tak mię przelękło, że przez chwilę wahałem się, czy nie lepiéjby było uprzedzić tę straszliwą pogoń — i całym pędem, na jakibym zdobyć się potrafił zbiedz po ścieżce aż do głębi wodospadu. Bez wiedzy i woli, machinalnie tylko przeżegnałem się — a całą siłą ducha chcąc zwalczyć obawy, jakie mnie ogarnęły — zatrzymałem się rezolutnie na samym środku wązkiego przesmyku i wyciągniętemi ramionami i nie wiem nawet jakiemi słowy począłem widmo zaklinać.

Ale widmo coraz bardziéj i z coraz wzrastającą szybkością posuwało się ku mnie; a kiedy kilka już tylko kroków oddzielało je odemnie — najwyraźniéj poznałem w niém postać mojego przewodnika Carla. Uwolniony od straszliwego niepokoju szybko postąpiłem parę kroków i kilkakrotnie przemówiłem do niego. Napróżno! Carl widocznie ani mię dostrzegł, ani słów moich dosłyszał — i zanim zdążyłem wyciągnąć znów dłonie, żeby go w przelocie uchwycić — przesunął się obok mnie tak szybko i zręcznie, że nawet płaszcza mego nie dotknął — a ścieżka była tak wązka, że zaledwie jednę mogła pomieścić osobę — i najmniejsze zetchnięcie się z nim byłoby nas obu niezawodnie na dno przepaści zepchnęło.

Carl sunął daléj po ścieżce z szybkością strzały — i nie zdążyłem jeszcze ochłonąć z zadziwienia, kiedy znikł z moich oczu. — Istnie szatańskie z ust moich wyleciało przekleństwo — ale w téj saméj chwili wszystkie poprzednie obawy napełniły moją wyobraźnię.

Zdawało mi się, że już kilka godzin musiało upłynąć od czasu, kiedy nieszczęśliwy mój młody Carl zapewne utonął w wodospadzie — i powziąłem silne przekonanie — że to tylko jego widmo ukazało mi się na przesmyku, ażeby wyjednać u mnie pośmiertną za jego duszę modlitwę.

Z dziecinną skruchą i pobożnością zacząłem szeptać pacierze — kiedy modlitwy moje przerwał ten sam jeszcze zaczarowany głos — powtarzając słowa i tony pieśni gdzieś w głębi podemną.

Tego już za wiele! zawołałem w rozpaczy — o ten hymn rozum mój się rozbija — i w obec niego żaden rozum ludzki ostać się nie zdolny. Przez jakąż czarodziejską kombinacyą przed wzrokiem ukazuje mi się widmo mego służącego Carla — gdy tymczasem o uszy moje obija się tyle mi drogi głos mego zmarłego przyjaciela Carla? Jakie może mieć znaczenie ten sen, co mię tak gwałtownie z uśpienia przebudził — jakby jakaś niewidzialna dłoń popychała mię w przepaść, aby ocalić od zguby przyjaciela? Co znaczy ten tajemniczy śpiew, co mi odkrył istnienie potęg nadprzyrodzonych i niewidzialnych w chwili tyle uroczystéj a może stanowczéj w mém życiu?

I znów utonąłem w bezowocnych rozmyślaniach — i tak już myślą przywykłem do wierzenia w rzeczywistość moich przywidzeń — że wszystko już dziwić mię przestało. — Zacząłem znów z całą ostrożnością zsuwać się z ostatniéj krawędzi skał, nie podnosząc wzroku z ziemi w przekonaniu, że prędzéj czy późniéj muszę napotkać trupa młodego Carla. — Ale zaledwie dostałem się do płaszczyzny, na któréj niedawno jeszcze jego widmo widziałem — usłyszałem znów poprzednią pieśń z drugiéj strony przepaści — a pieśń ta była już nadzwyczaj niewyraźną — i zaledwie mogłem rozróżnić jéj tony ginące w nieustannym szumie katarakty.

Pod wpływem takich wrażeń i przywidzeń błąkałem się przez całą noc na około téj strasznéj otchłani — do któréj ułudne sidła niewidzialnych syren ustawicznie mię nęciły. — Od czasu do czasu spostrzegałem widmo towarzysza — to znów widziałem go na zupełnie inném miejscu — i zmysł mój widzenia tak był ciągłemi temi przywidzeniami wstrząśniony, że często zdawało mi się, że je widzę naraz na dwóch zupełnie przeciwnych punktach. W jaki sposób rozum mój na tyle okropnych prób narażony nie zginął téj nocy? doprawdy nie pojmuję — ale i w ciele nie uczuwałem zmęczenia — gorączkowy żar dawał mi prawdziwie nadludzkie siły i zręczność.

Pierwsze blaski zorzy zaczęły rozwidniać horyzont — księżyc wybladły i ociężały ukrywał się już w gąszczu lasów jodlowych — kiedy na skręcie ścieżki, omijając

wystający krzak — spotkałem się oko w oko z widmem towarzysza. Napół rozdrażniony całonocną za nim gonitwą — napół ułagodzony odczuciem rzeczywistości rzuciłem się nań z boku — i porwawszy silnie w ramiona uścisnąłem w nich, nie cień, jak mi się wydawało — ale rzeczywistego Carla, mego towarzysza podróży. Schwyciłem go w chwili kiedy powtarzał....

Ostatni ton skonał mu na ustach. Zadrżał konwulsyjnie — westchnął przeciągłym jękiem i upadł w moje ramiona jakby jednym śmiertelnym ciosem z nóg był obalony.

Posadziłem — a właściwie ułożyłem go na skale — i starałem się przywołać go do przytomności. Napróżno — Carl leżał nieruchomie jak trup — a przecież pulsa biły bardzo spokojnie i oddech miał zwyczajny, wymierzony — zdawał się spać. Zaledwie ochłonąłem z przestrachu i zadziwienia — zmęczenie pokonało resztę moich sił fizycznych i moralnych — i zwątpiwszy już o możności rozwiązania zagadnień téj dziwacznéj nocy — upadłem obok Carla i głęboko zasnąłem.

VI.

Dzień był prześliczny — kiedyśmy się obudzili, słońce już wysoko wzniesione prawdziwie ożywczemi ogrzewsło nas promieniami. — Zanim jeszcze wyruszyliśmy w drogę, zarzuciłem mego towarzysza pytaniami, ale żadnego objaśnienia o zaszłych w nocy zdarzeniach wydobyć z niego nie mogłem. Carl nic nie zapamiętał — nic nie widział ni słyszał — i bardziéj jeszcze jak ja był zadziwiony opisem téj nocy. W końcu, kiedy kilka razy wspomniałem mu o pieśni, którą byłem pewny, że to on śpiewał w górach — usta mego towarzysza wykrzywiły się głupowato - wystraszonym uśmiechem — i prosił mię nieśmiało, żeby mu ją odśpiewać.

Oko jego dziwnie zapałało, kiedy pierwsze usłyszał tony téj fatalnéj pieśni — zczerwienił się — potém oczy spuścił do ziemi i w całéj postawie widać było jakieś dziwne zawstydzenie, na pół gapiowate, a na pół może udane. Myśląc, że jestem przedmiotem jego niewczesnych żartów i bawidełkiem jakiéjś szatańskiéj a niewytłumaczonéj dla mnie komedji — surowo napomniałem chłopca — i zagroziłem mu, że go natychmiast do ojca odeszlę — jeżeli mi całéj nie opowie prawdy.

W téj chwili biedaczysko rzewnemi zalał się łzami, upadł na kolana i z całém przejęciem się uroczystością chwili poprzysiągł mi, że się wyspowiada z całą szczérością, bylem mu tylko chciał wybaczyć przestępstwo. Nie mogłem i nie chciałem się drożyć z przebaczeniem, tak mi pilno było rozjaśnić zagadnienia, o które rozum mój od dwóch dni się rozbijał — obiecałem je więc — a on mi oznajmił, że od dzieciństwa miał szalony pociąg do muzyki — że ta namiętność zwalczana w nim przez jego ojca była przyczyną wszystkich nieszczęść jego życia — że jego artystyczne potrzeby i żądze okrutném postępowaniem ojca i upokarzającemi zatrudnieniami bez ustanku głuszone — podkopały w nim zdrowie i szkodliwie oddziałały na jego umysłowe władze.

Całe jego życie było tylko bezustanném szamotaniem się z żądzą kształcenia w sobie naturalnych muzycznych popędów — i przez jakiś czas był już zapomniał trochę o muzyce, kiedy pozornie drobny wypadek miał znów podsycić w nim słabo w nim już tlejący żar artystyczny. — Jakiś młody człowiek — brunet o ujmującéj postaci zatrzymał się przed pięciu laty w hotelu pod Białym Orłem — i do 5téj rano pisał, śpiewał i grał na flecie w swoim pokoju. Jedna głównie pieśń wciąż mu dźwięczała w ustach — i musiał ją bardzo lubić, bo wyjeżdżając zostawił ją odpisaną węglem na ścianie.

— A jakaż to była pieśń? zawołałem.

Jednym tchem Carl odśpiewał mi hymn Carla.

— A nazwisko tego młodzieńca — czy je znasz?

— Nie — znam tylko chrzestne imię i nigdy nie zapomnę — bo usłyszawszy, jak na mnie wołano — ten pan uderzył mię po ramieniu i powiedział, że jednego mamy patrona.

— To on! — zawołałem — to najdroższy mój przyjaciel. Przypominam sobie właśnie, że przed pięciu laty Carl był w Tyrolu — a gdy winszowałem mu pieśni, którą niedługo przed śmiercią zaczął śpiewać — i którą śpiewając umarł — odpowiedział mi z uśmiechem: „Nie chwal — nie chwal — to tylko echo młodości, nic więcéj“. — Ale powiedz mi jeszcze Carlu — w jaki sposób tak dobrze mogłeś tę pieśń zapamiętać?

— Każda pieśń, jaką tylko zasłyszę — na zawsze wbija mi się w pamięć i nic już jéj ztamtąd wyrugować nie może. Tę pieśń powtórzyłem sobie z jakie tysiąc razy i odśpiewałem ją nawet podając strzemię podróżnemu, który zdawał się być zadowolony z mego głosu — zachęcił mię do nauki i hojnym datkiem obdarzył. Niedługo potém ojciec mój tak okrutnie obszedł się ze mną, żem popadł w ciężką chorobę i ulubiona pieśń usnęła w mojéj pamięci. — Onegdaj, kiedy pan ją zagrał na flecie — pieśń znowu we mnie odżyła — i nie wyobrazi pan sobie wiele cierpiałem siląc się, żeby jéj nie śpiewać.

— Czemużeś nie powiedział mi zaraz, że ją znasz?

— Bo naprzód myślałem, że w niéj nie ma nic nadzwyczajnego — że to pieśń w ogóle znana, i dla tego właśnie nie zadziwiłem się, że i pan ją odegrał — a potém — za nic na świecie nie byłbym chciał wyjawić przed panem mego popędu do muzyki. Przyzwyczajony uważać tę namiętność za rzecz, któréj wstydzić się należało, lub za nieposłuszeństwo, które pod kijami

musiałem odpokutować — i jakkolwiek pewny, że pan mię bić nie będzie, bałem się rozgniewać na siebie pana tyle dla mnie dobrego — i pragnąc cały poświęcić się na pana usługi obiecałem sobie, że z całą siłą będę walczyć przeciw temu popędowi — ażeby pozbyć się roztargnienia, którego smutek mój jest jedyną przyczyną. Boję się, żeby to nie przechodziło moich sił — bo od czasu jak jestem z panem, czuję się coraz słabszym — zdaje mi się, że chodzę, biegam i śpiewam nawet przez sen. Niech się pan zlituje nademną!

Te ostatnie słowa wzmocniły moje przypuszczenia i pragnąc się dokładnie o ich uzasadnieniu przekonać — dałem do zrozumienia Carlowi, że i ja potępiam w nim jego muzyczne upodobania — i puściliśmy się w drogę do T. — Po dniu łatwo już nam było nie zbłądzić — i po dobrym objedzie, sam dobrze już wyspany — z początkiem nocy rozpocząłem moje nad Carlem spostrzeżenia i zbliżyłem się do jego łóżka.

Zrazu widziałem, że spał bardzo spokojnie — ale wkrótce podniósł się na łóżku — wstał — ubrał się — parę razy przeszedł się po pokoju i skierował się ku drzwiom. Drzwi były zamknięte — klucz miałem w kieszeni. Carl zbliżył się więc ku oknu, przy którém stanąłem, aby mu nie dozwolić niebezpiecznéj wycieczki na dachy. Czując opór — Carl zadrzał — jakby na pół mię widząc przemówił kilka niezrozumiałych słów i powrócił do łóżka, na którém usiadł. Chwilę zdał się rozmyślać — znów powstał — obszedł parę razy pokój do koła — zatrzymał się przy stole — usiadł — palcami zaczął przebierać po stole, jakby dotykał klawiszów — i przy tym wymarzonym akompaniamencie zaczął śpiewać ten sam fatalny dla mnie hymn.

Podniosłem go lekko ze stołka i ułożyłem na łóżku. Dał się bardzo spokojnie ułożyć — i zasnął znów głęboko. Kilka razy powtarzałem te same doświadczenia i najoczywiściéj przekonałem się, że Carl był lunatykiem.

Z całém staraniem przewiozłem go do Insprucku i wezwałem rady zdolnego lekarza, który mię zapewnił — że tylko zadośćuczynieniem jego naturalnemu pociągowi do muzyki można go będzie wyleczyć. Zabrałem więc go z sobą do Wiednia i oddałem w opiekę znakomitemu professorowi.

W rodzinném jeszcze miasteczku Carl nauczył się pierwszych zasad muzyki od tamecznego organisty — i do organów miał szczególne upodobanie. Postępy jego były ogromne, niedouwierzenia — i w chwili, gdy to piszę — Carl zapowiada dla siebie przyszłość genialnego kompozytora.

W miarę, jak wrodzony mu geniusz tak długo więziony mógł się swobodniéj i silniéj rozwijać — zdrowie jego także się polepszyło — nabrał kolorów, spokoju, wesołości — a sen zupełnie stał się spokojnym. Co się zaś tyczy serca — o! to zawsze zostało nieskazitelném — i na zawsze pozostanie najczystszém, najszlachetniejszém i najwierniejszém, jakie mogłem znać od chwili śmierci nieodżałowanego mego przyjaciela — Carla-maestro. *S. R.*

ADDIO.

Raz — pożegnałem ją — może na wieki...
A ona była taka obojętna,
Że nawet jedna łezka z jéj powieki
Nie spadła — może dziś już nie pamiętna
Marzeń, co biegły jasne w świat daleki....
Gdyby przez litość chociaż była smętna —
Gdyby przez litość siostrzaną nademną,
Rzuciła łezkę choć na drogę ciemną!...
Nie — obojętna była i wesoła,
Jakbyśmy nigdy nie byli się znali —
Taka swoboda lśniła u jéj czoła....
Nawet nie zbladły usteczka z korali,
Myślałem idąc — że na mnie zawoła,
Że tylko smutną komedjęśmy grali.
Nie — obojętna była marmurowa,
Kiedym jéj rzucił ostatnie — bądź zdrowa!...

Aleksander.

Nie zmyślone

POWIEŚĆ

przez *Paulinę z L. Wilkońską.*

> Notre cause est avant tout celle de la justice et du droit, et l'on ne peut bien la servir qu'au au nom de la vérité.
> La Pologne et la cause de l'ordre.

— Interes ubity, Władziu! zawołał pan Jędrzej Zadorski, wbiegając do pokoju bratanka.

Młody Władysław siedział zamyślony, z wspartém na dłoń czołem. Ale na te wyrazy porwał się — pokraśniał nagle i stryja uścisnął.

— Aj, aj! wymówił tamtem i rzucił się na kanapę, otrząsając pyłki suchego śniegu, które siwego uczepiły się wąsa. Siadaj i posłuchaj.

Władysław usiadł obok — i ciemne, mówiące w nim utkwił źrenic. A był to przystojny młodzian, wysoki, składnéj postawy, miłego oblicza, z ciemnym wąsikiem przy zdrowéj cerze.

— Stryjaszek zastał senatora? zapytał.

— A jakże. Przyjął mnie uprzejmie bardzo, i możesz mieć pewność.... Ale opowiem wszystko jak było: W niewielu słowach wyłożyłem mu interes cały. To jest, prosiłem go o protekcją dla ciebie co do opróżnionéj posady przez śmierć Widulskiego. „No, no — zobaczymy“ — odrzekł. Ja cenię pana Władysława,

pilny i prowadzi się moralnie. Zobaczymy, rozpatrzę się, pomówię.... Na to ja znowu, od razu z kopyta, dla ułatwienia sprawy — uśmiechnął się pan Jędrzej — wziąwszy go przyjaźno za rękę, wyrzekłem: „Panie senatorze w tym interesie będziesz miał oczewiście wydatki, więc pozwól sobie z góry usłużyć“ — i położyłem przed nim na sekretarce list zastawny na 5000. „Panie dobrodzieju, za cóż mnie masz? zawołał, zerknął okiem na pergumin, i rzucił się niby. — „Przecież ja wyłożyć mogę“.... „Panie senatorze łaskawy“ — czule uścisnąłem mu rękę — wybacz panie! Ale ja znam, że są zachody, wydatki, a niekiedy i znaczne. Zatém, *clara pacta claros faciunt amicos*. „Ależ panie!“ — wymówił znowu — po co to naprzód?“ zżymał się jeszcze, trącił z niechęcią o list zastawny, jak gdyby go chciał odrzucić, że aż wsunął się pod inne papiery.

Władysław się rozśmiał, i stryj zawtórował mu wesoło.

— Uścisnąłem go, ucałowałem — ciągnął dalej pan Jędrzej — potém pogadałem o balecie, o koncercie amatorskim, o braku sannéj drogi... i pożegnałem go wreszcie.

— Tysiączne podzięki najdroższy stryju! pocałował go Władysław w ramię — a nie przyjemna była to droga.... Oh Boże! i westchnął ciężko.

— To i czegóż wzdychasz? Mówię ci, że rzecz skończona i interes ubity.

— Daj to Panie Boże!... Ale tutaj w nic wiary mieć nie można... nawet i w rezultat przekupstwa! — dodał młodzian ciszéj, z wyrazem wstrętu. — Mam miłość pracy! Mam gorącą wolę służenia krajowi, o ile sił starczy i zdolności. Brzydzę się wszelkiemi drogami krętemi, podlażeniem, czołganiem się, frymarką.... A dziś do takiego kroku jesteśmy zmuszeni! zawołał z goryczą i zacisnął dłońmi oczy — koniecznością zmuszeni, bo w koło wszystko jest podłe, nikczemne i sprzedajne.

Pan Jędrzej patrzał się na niego z uczuciem i nagle sam spochmurzał także.

— Ha! wyrzekł przez ściśnięte usta — trudna rada, kiedyć inaczéj być nie może! A po prawdzie, przecież lepiéj, że ty sobie tę posadę kupisz, aniżeli gdyby ją obsadzili zaprzańcem jakim.

— I to już sobie powiedziałem, ale wszelako... gryzie mnie głęboko ta frymarka.

— Wolno kupić to, co jest na sprzedarz.

Władysław chmurne na dłoń opuścił czoło.

— To już i lepiéj o czém innèm, a dobrém! zawołał pan Jędrzej, dobrodusznie rozjaśniając lica. — Otóż więc, wszakżeż pójdziemy do państwa Grątowskich na wieczór?

— Pójdziemy, stryjaszku! — odrzekł Władysław — i dziwnie złagodniało ciemnych oczów spojrzenie.

— Możesz pannie Elci powiedzieć o pewnéj nadziei otrzymania posady.

— Powiem... lecz Władysław wstrętnego nie mógł powściągnąć uczucia, bo aż drgnął niby.

— Jutro wracam do Skibina. A skoro tylko posadę otrzymasz, przybędę i oświadczę cię o rękę panny.

— Oh to przekupstwo!...

— To i jakże poradzić?! Murem głowy nie przebijesz. Ot — machnął ręką.

„Nędznie się to plecie
Na tym polskim świecie“.

wymówił, parodjując Malczewskiego. Pocieszajmy się wszelako, że kiedyś lepiéj będzie.

— Gdy się zdemoralizujemy ostatecznie! — wyrzucił Władysław z goryczą — bo frymarka hańbiąc jednych, ubliża i drugim....

— Cyt, dziecko! Dosyć na dzisiaj o tém — pocałował go stryjaszek w czoło — kiedyć już inaczéj być na teraz nie może, to i potrzeba duszę w hart uzbroić i serce polskie przechować. „Gdzie nie można przeskoczyć, tam podleźć potrzeba“ — uczy filozofja ludu, praktyczna wcale. Zatém na dziś już ani mrumru o korcących rzeczach, ażeby sobie do reszty nie popsuć humoru.... O siódméj pójdziemy, a jest już blizko szósta. Pomyśl zatém, byś gracko wyglądał i więcéj jeszcze spodobał się bogdance swojéj — musnął bratanka po włosach i do drugiego wyszedł pokoju.

Władysław przez chwilę jeszcze chmurny posiedział.

(Ciąg d. nast.)

TEATR. *Mindowe*. — Obraz historyczny w pięciu aktach p. Juljana Słowackiego.

Jestto jeden z najmłodszych utworów Słowackiego, o którym sam poeta pisząc w notatkach przy końcu dzieła — przyznaje się do wszystkich wad, jakie spotkać tam można. Widocznie, że skromność powodowała Słowackim, bo z wszystkich zarzutów, które sam autor czyni swojemu utworowi, jeden tylko podnieśćby można tj. niedostateczność układu. Rzeczywiście brak łączności akcji każe nam uważać „Mindowe“ jako poemat, którego pojedyncze części prześlicznie wykończone — nie przedstawiają jednéj harmonijnéj całości, jaka w budowie dramatu i tragedji jest konieczną.

Mindowe wielki książe litewski przyjmuje chrześćjaństwo wraz z koroną królewską — i łączy się z Krzyżakami dla rozszerzenia granic swego państwa. Następnie, gdy czuje się dość silnym, gdy już nie potrzebuje ich pomocy, zrywa z nimi. Jednakże lud oburzony odstępstwem od wiary bogów — buntuje się przeciwko swojemu panu. — Matka przeklina go. — A chociaż później Mindowe zdziera maskę obłudy — choć wraca do wiary dawnéj — przeznaczenie mści się straszliwie na nim, bo ginie wraz z całém swojém

potomstwem — a tron dostaje się Trojnatowi — mordercy jego dzieci.

Oto główna treść tragedji, z któréj poeta czerpał sceniczny wątek. — A jakkolwiek p. Małecki w rozbiorze swoim dzieł Słowackiego z innego punktu ocenia wartość poematu Mindowe, zdaje nam się przecież, że autor właśnie w tym kierunku pragnął rzecz całą przeprowadzić. Niezawodnie, że w układzie dzieła jako sztuki scenicznéj brak jest akcji, że tragiczność nie polega na niéj — ale, by Mindowe główny bohater tragedji miał być jakąś osobą, która rzucona jest w wir wypadków — w którego duszy nie odbija się nic ze świata, w którym żyje — na którego wypadki i położenie nie mają żadnego wpływu — i że właśnie cała dramatyczność charakteru jego nie z położenia, ale własnéj natury wypływa — aby niszczyć i druzgotać wszystko w koło siebie. Na to zgodzić się niepodobna. Boć cóż mogło zdradzić tę dumę straszną — te nienasycone żądze — jeśli nie stosunek jego do świata. Natura dopiero łamie się w walce o te zdobycze — zbrodnie rodzą się nie bezwiednie nie dla tego, aby niszczyć dla zniszczenia, ale aby zdobyć dla zakreślonego celu. — W ten sposób pojmując Mindowe nie potrzebujemy uciekać się do fikcyjnych Byronowskich postaci — ale historja dać nam może wiele podobnych typów — w których namiętności odgrywać musiały straszniejszą nieraz walkę do spełnienia ohydnych zbrodni. — Z tém wszystkiém nie zdaje nam się, aby poeta miał na celu tylko przeprowadzenie takiéj irracjonalnéj natury, jaką jest Mindowe. Na głównym planie nakreślone są nie charaktery same — ale i idee, o które także Słowacki potrąca. Jeżeli pan Małecki przyznaje, że poeta z pewną konsekwencją przeprowadził tok rzeczy, nie podobna przypuścić, aby nie miały żadnego znaczenia te np. słowa, które kładzie w usta Mindowy (Akt IV. sc. I.)

Poznaj go synu tego papiezkiego posła
Święty? dobrego nabył do świętości prawa
Patrz na jego oblicze — ta postać wyniosła,
Raz się płaszczy do ziemi, znów z ziemi powstawa
Jak wąż, w żelaznéj łuski w pierścienie uwita,
Raz jest nędznym grzesznikiem, znów świętą osobą:
To poczwara spragniona i nigdy nie syta,
Gdyby mógł lasy zabrać, zabrałby je z sobą.

Całe wreszcie zachowanie się krzyżaków wysłanników papieża Inocentego IV. na dworze księcia litewskiego, było takie, jak sam poeta mówi, celem ułożenia tego obrazu. I dla tego zapewne uprzedzając krytykę, sam autor w notatkach do Mindowy powiada: „Przekonany jestem nakoniec, że wszelką bezbożność w słowach autora ukrytą, uprzedzony chyba i płocho sądzący czytelnik na karb autora policzy".

Przypuściwszy więc to, co przypuścić mamy prawo — śmiało możemy sądzić Mindowego nietylko jako igraszkę charakteru niszczącego wszystko bezwiednie — ale jako obóz, gdzie walka zacięta toczy się — przed groźnym dla Litwy nieprzyjacielem, Krzyżakami — reprezentującymi chrześcijaństwo. Nie wdając się daléj w rozbiory pojedynczych typów dla szczupłości miejsca — zapytać się godzi, czy dramata Słowackiego mogą być grane na scenie teatru krakowskiego? Sumiennie powiedzieć musimy, że nie. Dopóty przynajmniéj, póki mieć nie będziemy artystów dobrych dramatycznych — i dopóki scena nasza nie będzie mogła zdobyć się na lepsze dekoracje, niżeliśmy to widzieli w ostatniém przedstawieniu. — Zaimprowizowane kostjumy przedewszystkiém, że już nie mówię o grze artystów, ujmują nie mało uroku i złudzenia, jakiego widz domaga się od sceny, która przenieść go ma gdzieś w czasy odległe, średniowieczne. Zresztą, gdyby ktoś chciał własną wyobraźnią dopełnić sobie koloryt obrazu — trudniéj mu będzie w ten sposób zastąpić deklamację i grę artystów. Jakkolwiek więc wdzięczni jesteśmy Dyrekcji teatru naszego, że pragnie publiczność zapoznać z wyższemi utworami mistrzów sztuki dramatycznéj — widocznie poprzestać musimy tylko na dobrych chęciach.

Pan Benda w komedji wyższéj w rolach salonowych lekkich jest panem sceny w całém znaczeniu tego słowa — artystą — ale brakuje mu jednego i drugiego, gdy go widzimy w dramacie lub tragedji. Nie mając miejsca na szczegółowy rozbiór gry pana Bendy (Mindowe), powiemy tylko, że posągową postać Mindowy oddał na wpół dziko. Ani człowieka wielkich namiętności, ani zbrodniarza-niszczyciela nie umiał przeprowadzić według wymagań sztuki. W ogóle nie rozumieliśmy, czém być pragnął. — Strasznéj naprzykład potęgi wysłowienia potrzeba, aby dać wiarę jedném słowem — każę (Akt IV. Scena II.) kiedy Lutuwer umierając prosi Mindowe, by mu pozwolił wrócić do wiary bogów litewskich. Pan Benda mówi to tonem zwyczajnym — jak gdyby to szło naprzykład o podanie szklanki wody.

Pani Aszpergerowa (Regneda) mniéj więcéj rolę swoją przeprowadziła w jednym tonie i charakterze. W grze pani Hofmann (Aldona) nie widzieliśmy tego cieniowania w deklamacji — gdzieby rozróżnić można obłąkanie i chwile błysków przytomności — chociaż z całém uznaniem przyznajemy jéj warunki, jakich wymaga szkoła dramatyczna.

Pan Wolański (Dowmunt) jedyna prawie postać w tragedji lekkim naszkicowana konturem — był zanadto niezgrabnym — chociaż na drugiém przedstawieniu wyglądał więcéj oswojonym z grę swéj roli.

Pan Ładnowski syn (Trojnat) daje nam prawo wierzyć, że kiedyś młode siły swoje spożytkuje z chlubą dla sceny dramatycznéj — dziś nawet w roli Trojnata

mało przynajmniéj zostawił przed sobą do zdobycia.

Kilka wierszy, które nam się zostały — pozwalają zaledwo wspomnieć o *„Poświęceniach“* komedji w 4rech pp. Narzymskiego i Sabowskiego. Jestto jedna z komedji polskich śmiało powiedzieć możemy — najlepsza. Chociaż pierwszy akt kończy się tak jakoś dziwnie, że publiczność nie przygotowana jest ani na tak znakomitą komiczność, ani na takie bogactwo scen dramatycznych, jakie w dalszym toku komedji rozwija się przed oczami widzów. Najlepszym wreszcie dowodem zalet sztuki jest zadowolenie publiczności — która opuściła teatr klaszcząc w ręce pełna humoru i zadowolenia. — Przytém oddać słuszność należy, że artyści wywiązali się ze swego zadania znakomicie. Pan Benda (Hilary) stworzył typ tak właściwy roli starca, obrzydliwego sknery i cynika bez serca — iż niepodobna nic więcéj wymagać od artysty. — Pan Nowakowski (Anastazy) grzeszył w pierwszym akcie cokolwiek przesadzoną mimiką — za to ciąg dalszy nie przedstawiał nic do życzenia. — Pan Wolański (Gustaw) jak zawsze (w komedji) swobodny i pewny siebie grą swoją zyskuje coraz większą sympatję publiczności. — Pan Ładnowski syn (Artur) z wielką prawdą i życiem oddał w akcie IV. scenę przedostatnią.

Gra p. Ekerowéj (Laury) nie potrzebujemy mówić, że zadowoliła najwykwintniejsze wymagania znawców, również jak pełna talentu i artyzmu gra pani Hofman (Izabela).

Porównywając te dwa przedstawienia — widzimy, że o ile z jednéj strony artyści zyskują w sztukach, które — przypuśćmy, nie wyższych wymagają talentów — ale właściwego kierunku ich zdolności — o tyle tracą oni — teatr i publiczność, gdy ta ostatnia spotyka ich np. w Mindowem.

α. δ. **Kronika.** — *Przyjęcie Dra Libelta i coś a propos. Sokół urodzi się w Poznaniu i przyjedzie do nas w sierpniu. Niedyskrecja kronikarza co do „Tajemnic Krakowa“. — Jarmark wzbudza życie — szturchańcami. — Nadzieja co do wiosny i ogrodu Strzeleckiego.*

Kraków na chwilę wyrwany ze snu letargicznego — rozgorzał nowym zwrotem patrjotycznego słońca, a zapatrując się na sprawy Europy z punktu jedno-międzynarodowego uznania — wystąpił w reprezentacji... przyjmując w swoje oszronione wiekami mury gościa z Wielkopolski. Obudzeni z drzemki gęślarze, rymami przywitali Libelta — oddając hołd pracy i zasłudze, o ile na to budowa wiersza pozwalała. A byli i tacy, którzy pomnąc iż nie samą poezją się żyje, ale i wszelkiém słowem, które jest — na zaimprowizowanym wieczorku w Kasynie mieszczańsko-literackiém — od serca mówili prozą — o młodéj solidarności, jaka łączyć powinna kraj cały. Zresztą szczegółowe temata wierszy i niewierszy — podały wszystkie gazety dla wiadomości tych, którzy nie chcieli wyjść z kryjówek swoich, by połączyć się jednomyślnie — by oddać należyty hołd i uznanie pracy — wytrwałości i zasługom, jakie położył Libelt na polu piśmiennictwa i na polu walki jako żołnierz i mówca znakomity. Niesolidarność taka nie dziwi nas jednakże — bo Liebelt przyjechał do nas, aby kilka słów braterskiego hasła rzucić jako siejbę, zkąd ma wrócić przyszła łączność i serdeczniejsze braterstwo... a wybierając się z poznańskiego, zapomniał wziąść jakiego maestro niemca, któryby pokazywał teatr marjonetek albo jakie kalospintochromokrene. Zresztą Kraków trzyma się także swojéj polityki, która do owacji podobnych wymaga przedewszystkiém komitetu. . a ten mimo całego pochopu natury polskiéj do komitetomanii — tą razą nie zawiązał się.

Jak słychać, w Poznaniu myślą o zebraniu się liczniejszém i á la Sokół zawitać na gościnną ziemię naszą wraz z płcią piękną — biorąc asumpt z 300 letniéj rocznicy Unii, która przypada zdaje mi się — w sierpniu r. b. Znając uprzejmą grzeczność Poznańczyków — jesteśmy pewni, że należącéj się nam rewizyty na czas nieograniczony odkładać nie będą.

Chcąc zachęcić oraz zaciekawić inne narody do wycieczek w okolice Krakowa, jeden z młodych, bardzo zdolnych pisarzy naszych, przygotowuje do druku „Tajemnice grodu Krakusa“. Wielce to szacowne będzie dzieło, do którego znowu jeden z młodszych wieszczów dorobił przecudny wierszyk, przesłany mi do umieszczenia w najbliższym numerze „Kaliny“ — a z którego początek podajemy pięknym czytelniczkom:

> Znacie kraj ten? gdzie młodzież jest zaklęta
> Na wieczny sen....

Daléj poeta w czarnych nadzwyczaj obrazach malując śpiące postacie wonnéj młodzieży — trafia na... jarmark krakowski, a upojony zdaje się gwarem i wrzawą — idzie na planty i przy drżących promieniach konającego słońca, obserwuje piękne krakowskie panny — idealne kapelusze i paljowe rękawiczki. — Nakoniec i to go nudzi. Dusze wyższe potrzebują nowych coraz wrażeń, aby nie zbrukać białéj szaty poezji — przy kuchni powszedniego życia. — Idzie więc poeta do cukierni Majera — tam pije szklankę herbaty z rumem — a pożegnawszy gospodarza uprzejmém „dobra noc“, udaje się do własnego mieszkania na spoczynek, nie zapomniawszy zgasić świécy....

Szkoda tylko, że poeta nie zatrzymał się dłużéj na jarmarku, obecnie ożywiającym Kraków, byłbym miał może więcéj ciekawych faktów do dzisiejszéj kroniki. A tak nie wiele mam do podzielenia się z wami szanowne czytelniczki. Ani jednego nadzwyczajnego faktu nie mogłem złowić na koniec zgłodniałego pióra — oprócz niezliczonéj ilości szturchańców, któremi jarmark zakłóca na chwilę spokojny bieg życia Krakowczyków —

a które przez wzgląd na poświęcenie, zachowam dla samego siebie. Rzecz jednak szczególna, że krakowskie jarmarki nie wyrobiły sobie właściwéj cechy, jak np. w Kongresówce Łowicki. — Cały tutejszy handel ogranicza się prawie na tém, że żydzi z Kazimierza sprzedają swoje towary na rynku — a nie znać, żeby ktoś obcy przyjechał kupić sobie... choćby zasmarzonych w cukrze pomarańczowych skórek lub makagigi, które tak nęcą smakoszów do siebie — zwłaszcza, że rozsprzedarzą tychże trudnią się stare izraelitki, odznaczające się przedewszystkiém schludną czystością.... Tuż obok wieży usadowiła się budka z panoramą i mistrzynią sztuk magicznych, gdzie młodzież krakowska najskrajniejszych pojęć, liczny nader bierze udział w nawiedzaniu tego ciekawego przybytku. Byłbym może i ja tam zaszedł, bo dobrze w brak Epsteina przypatrzeć się i niższéj magji — ale spotkawszy wychodzącego ztamtąd jednego z moich kolegów kronikarzy, jestem pewny, że w którym z dzienników wyczytacie szczegółowe sprawozdanie o tém — i dla tego poprzestałem na polityce wyczekującéj — która podobno jest wielką podstawą dyplomatów naszego wieku. — A propos wyczekiwania mamy nadzieję, że niezadługo publiczność usłyszy w ogrodzie Strzeleckim muzykę pułkową i brzęk kufelków, a jestem pewny, że i cel dobroczynny znajdzie się do fantowéj loterji, która da sposobność przypatrzenia się najwykwintniejszym toaletom piękności krakowskich. Cały więc zapas ciekowości zachować musimy na obiecującą przyszłość miesięcy więcéj wiosennych. Do widzenia więc na następną kronikę w Strzeleckim ogrodzie.

Uprasza się o nadsełanie *in crudo* wiadomości, które dałyby się zużytkować w kronice — adresując: Biuro redakcji „Kaliny“. franco.

Mody na maj.

Opis ryciny.

Pierwsza dama ubrana w strój spacerowy, złożony z sukni „Trianon“ w jasno-zielonkowatym (wodnym) kolorze. Suknia obszyta dołem szeroką falbaną ułożoną w podwójne fałdy. Wierzchnia suknia w tyle znacznie dłuższa jak z przodu, obszyta do koła frandzlą koronkową, mantylka spięta fontaziem w tyle stanu. Kapelusz biały krepowy, z polnemi różami.

Druga osoba nosi suknię z wełnianéj, niebiesko z pąsowém mieniącéj materji, zrobioną na sposób „Virginie“. Spodnica i paletocik obszyte dołem czarną jedwabną falbaną wycinaną w zęby. Czarny koronkowy kapelusz z żółtemi różami.

Kroje do obydwóch ubrań zamieszczone na dołączonych arkuszach.

Opis krojów.

Arkusz I.

Fig. 1. Mantylka do sukni „Trianon“ — — — —.

W tyle mantylki daje się prosta nitka materji i kraje się dwie części, które się ze sobą zeszywają. Zeszyte części przecinają się od C. do C. i w cztery fałdy się układają, które się w wązki pasek wszywają i do C. łączą. Przodnie części zostają równe i obszywają się trzema pliskami zakończonemi dołem frandzlą, w tyle robi się w stanie fałd, podszyty paskiem. Na wierzchu daje się stósowny pasek spięty z przodu, a w tyle na fałdzie ubrany sutym fontaziem z szerokiemi końcami. Pasek powinien być przyszyty z wierzchu fałdu w tyle i przez przekrojone otwory przeciągnięty do przodu tak, aby mantylka spadała wolno na ramionach.

Paletot „Cleopatre“.

Fig. 2. Przód, Fig. 3. Bok, Fig. 4. Plecy } oo — oo — oo —
Fig. 5. Peleryna, Fig. 6. Kołnierzyk } — — — —
Fig. 7. Pasek, Fig. 8. Poły, Fig. 9. Fontaż } • • • • • • • •

Ukrojone części (wyjąwszy Fig. 9.) łączą się podług oznaczonych głosek ze sobą. Peleryna obszyta jest dołem koronką $1/8$ łokcia szeroką, na górze zakończoną wązką na cal koronką, na których zeszyciu położony rulon atłasowy. Góra peleryny układa się w cztery fałdy i lamuje się atłasem. Krepina z paciorków obszyta na około peleryny kończąc się z przodu koło paska. Wystająca część I. służy jako podstawa do fontazia. Poły obszywają się i w cztery fałdy ułożone pod pasek od N. do O. przyszywają. Pasek ozdobiony w tyle fontaziem, przyszywa się na głosce R. i od B. do D.

Fig. 8. kraje się z cienkiego tyfoniu i pokrywa materją. Dół Fig. 8. ozdobić potrzeba fontaziem złożonym z pięciu pukli w nierównéj wielkości, dając mniejszą nad większą. Tak ułożony fontaż przyszywa się w tyle na R. i od P. do Q. na połach. Mały stojący kołnierzyk ż podwójnéj materji przyszyty około szyji.

Paletot "Victoire".

Fig. 10. Przód, Fig. 11. Boczek do przodu } * * * *
Fig. 12. Boczek do plecek, Fig. 13. Plecy } — * — * — * —
Fig. 14. Rękaw, Fig. 15. Pasek } — × — × — × * × — ×
Fig. 16. Dłuższa szarfa, Fig. 17. Krótsza szarfa } — • — • — • — •

Wszystkie części krają się podwójnie, po zeszyciu brzegiem lamują i na lewą stronę podszywają. Dołem obszyty jest paletot garnirunkiem fałdowanym z ukośnego atłasu obszytego po obydwu stronach na palec szeroką frandzelką. Dwa paski z téj saméj materji co paletot obszyte po bokach wypustką atłasową, umieszczone na przodzie nad garnirunkiem z frandzelki, rękawy stósownie ubrane. Pasek obszyty po obydwóch stronach garnirunkiem z atłasu obszyty w kształcie kołnierza. Pasek oblamowany atłasowym rulonem zakończony w tyle podwójną szarfą, ogarnirowaną frandzelkami tak jak paletot. Dłuższa szarfa ułożona we fałdy przyszyta pod spodem paska od N. do O. krótsza szarfa przyszyta od góry paska od P. do Q. Ukończony pasek przyszyszywa się w tyle na oznaczoną gwiazdkę. Około wycięcia szyji garnirunek z atłasu.

Paletot „Agnes Sorel“.

Fig. 18. Przód, Fig. 19. Boczek } • • • • • • •

Fig. 20. Plecy }
Fig. 21. Rękaw } ~~~~~~~~~~

Ukrojone i zeszyte części garniruje się do koła atłasowemi rulonami, dołem paletot i rękawy obszywają się fałdowanym garnirunkiem z atłasu oraz wycięcie koło szyji, na boczku umieszczony taki sam garnirunek pomiędzy dwoma rulonami z atłasu.

Odwrotna strona arkusza.

Paletot „Lamballe".

Fig. 22. } Przód } ——————
Fig. 22. a }
Fig. 23. Plecy } * * * * *
Fig. 24. Dłuższe poły }
Fig. 25. Krótsze poły } ~~~~~~~~~~
Fig. 26. Pasek }

Rękaw używa się od paletota „Victorie".

Ukrojone części zeszywają się podług głosek, w przodach robią się wyszytki od A. do B. i boczki od C. do D. zeszywają, potém przyszywają się plecy od E. do F. i na ramionach się łączy. Przed ukrojeniem przodów potrzeba krój z papieru złączyć od O. do O. gdyż z braku miejsca musieliśmy go na dwie części podzielić. Długie poły zeszywają się z przodami od G. do H. a zmarszczony przód i poły zeszyte lamują się z lewéj strony, od I. do F. i od F. do D. Przekrojenie od N. do O. potrzeba zeszyć i potém do N. we fałd głęboki ułożyć. Na cal szeroki pasek wskośnego atłasu obszyty jest na około paletota. Małe poły obszyte w tyle dwa razy koronką, potém ułożone we fałdy przyszyte do paska od I. do gwiazdki, suty fontaź przykrzwa przyszycie paska w tyle, koronką i krepiną obszyte około rękawa.

Mantylka „Lavalliere".

Fig. 27. Przód } • • • • • • •
Fig. 28. Peleryna }
Fig. 29. Kołnierz } * • * • * •
Fig. 30. Kołnierzyk stojący }
Fig. 31. Łącznia peleryny z dołem } × × × × ×
Fig. 32. Pasek }
Fig. 33. Duża bufa } — — — — —
Fig. 34. Brzeg }
Fig. 35. Falbana } • • • • • • •
Fig. 36. Mała bufa }

Mantylka taka robi się z tęgiéj materji — prawa strona przodu opatrzona dziurkami, lewa guzikami. Cała mantylka ogarnirowana fałdami wycinanemi w ząbki, a nad tym garnirunkiem przyszyta pliska atłasowa na cal szeroka. Takie obszycie umieszczone na pelerynie i na kołnierzu. Gdy już peleryna uszyta i we fałd ułożona przyszywa się kołnierz od D. do I. na przody i od G. do H. pod pelerynę. Koło szyji dają się stojący kołnierzyk.

Bufa podszywa się floransem i tyfoniem, na około we fałdy ułożona przyszywa się do brzegu, do którego również przyszyta jest falbana fałdowana. Garnirunek fałdowany przykrywa zeszycie falbany z bufą. Mała bufa ułożona we fałdy przyszywa się nad dużą do paska podług stosownych głosek. Pasek lamowany atłasem obszyty od przodu do N. i od N. do gwiazdki garnirunkiem fałdowanym, od N. do T. zrobiony mały fałd i do dolnéj części przyszyty. Szeroka frandzla obszyta dołem przodów, w tyle przy kołnierzu duży jedwabny kutas.

Suknia dla dziewczynki od 4 do 6 lat.

Fig. 37. Połowa tylnego bryta }
Fig. 38. Bok od tyłu } ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○
Fig. 39. Bok od przodu }
Fig. 40. Połowa przodu }

Fig. 41. Przód stanu } — × — × — × — +
Fig. 42. Rękaw }
Fig. 43. Brzeg do paska i rękawa.

Wszystkie części krają się z białéj piki i zesobą podług głosek łączą. Na wierzch spada krótka spodniczka z żółtéj piki po bokach podpięta, a dołem żółtą włóczką obdziergana. Pasek i szarfa oraz rękawy także obdziergane, jakotéż wycięcie koło szyji.

Kołnierzyk stojący.

Fig. 44. Kołnierz } — • — • — • — •
Fig. 45. Półkoszulek }

Kołnierz kraje się potrójnie z płótna, zeszywa się, odwraca i na szew daleko od brzegu stebnuje, potém do półkoszulka przyszywa i zaposzywa. Z przodu spina się na guzik.

Opis drugiego arkusza.

Spodnica do sukni „Trianon".

Fig. 46. Przód. } — — — — —
Fig. 47. Tył. }
Fig. 48. Pasek } ○ ○ ○ ○ ○ ○
Fig. 49. Dolna spodnica }

Wierzchnia spodnica zeszywa się i wraz z dolną, która rozszérzoną jest dwoma równemi brytami, we fałdy układa i do paska przyszywa.

Mantylka „Fanchonette".

Fig. 50. Przód } * * * * * *
Fig. 51. Plecy }
Fig. 52. Pasek } • • • • • • •
Fig. 55. Szarfa }

Mantylka z czarnéj materji obszywa się falbaną atłasową, atłasowy pasek, ozdobiony szarfą obszytą falbaną z atłasu, spięty Na mantylce w tyle umieszczona duża rozeta z atłasu.

Mantylka „Lucrece".

Fig. 54. Przód } × • × • × • ×
Fig. 55. Plecy }
Fig. 56. Pasek } • • • • •
Fig. 57. Dolna część }

Mantylka z czarnéj materji obszyta dołem koronką i dwa razy rulonem atłasowym boki dolnych części spięte fontaziem. Pasek zakończony fontaziem spięty w stanie.

Mantylka „Vestale" na 10 lat.

Fig. 58. Przód }
Fig. 59. Plecy } — • — • — • — •
Fig. 60. Szarfa }

Mantylka dla małéj panienki może być z czarnego lub kolorowego mohairu zrobioną, na około dwa razy falbanką karbowaną obszyta i paskiem w stanie spięta.

Szarfa do paletota „Nilson".

Jakikolwink krój można użyć do téj szarfy.

Fig. 61. Duża szarfa } ~~~~~~~~~~
Fig. 62. Mała szarfa }

która ogarnirowana falbanką przyszywa się do paska, zakończonego fontaziem.

Naramienniki do paletota „Calypso".

Fig. 63. Naramiennik * — * — * — * —

Można także do każdego kroju użyć. Zrobiony z téj samej materji co paletot i ogarnirowany atłasem bardzo dobrze ubiera — a zwłaszcza osoby szczupłe.

Fartuszek dla dziewczynki.

Fig. 64. Połowa fartuszka
Fig. 65. Połowa staniczka
Fig. 66. Ramiączko

Robi się najwięcej z białego perkalu i wyszywa szutaziem.

Opis wzorow.

Nr. 1. Narożnik na nakrycie stołu.
Nr. 2. Stósowny środek do nakrycia.
Nr. 3. Wyszycie siutaziem.
Nr. 4. Szlak wyszyty siutaziem.
Nr. 5. Wyszycie na denko do czapki.
Nr. 6. Bratki haft włóczkami na suknie.
Nr. 7. Narożnik haft ruskim ściegiem.
Nr. 8. Kieszeń do rannego ubrania, wyszycie jedwabiem kolorowym.
Nr. 9. Połowa środku na podłużną poduszkę, haft ruskim ściegiem.
Nr. 10. Wstawka, haft atłaskiem.
Nr. 11. Narożnik, haft atłaskiem.
Nr. 12. Czwarta część wyszycia na poduszkę.
Nr. 13. Narożnik wyszycie siutaziem.
Nr. 14. Wzór do haftu atłaskiem.
Nr. 15. Głoski A. I. haft atłaskiem.
Nr. 16. Imię Paula z ozdobą kwiatów, haft biały.
Nr. 17. Wiązane M. K. haft biały.
Nr. 18. Wiązane A. W. haft biały.
Nr. 19. Wiązane A. W. } haft biały.
Nr. 20. Korona
Nr. 21. Wiązane W. M. } haft biały.
Nr. 22. Wiązane W. M.
Nr. 23. Korona.
Nr. 24. Głoski I. T.
Nr. 25. Imię „Claudia“.
Nr. 26. Imię „Claudia“.
Nr. 27. Imię „Julia“.
Nr. 28. Imię „Julia“.
Nr. 29. Wiązane M. D.
Nr. 30. Haft na stojący kołnierzyk.
Nr. 31. Haft na stojący kołnierzyk.
Nr. 32. Haft na brzeg chustki do nosa.
Nr. 33. Haft na obszywkę do koszuli damskiéj.
Nr. 34. Ozdoba na gors do koszuli męzkiéj.
Nr. 35. Ozdoba na gors do koszuli męzkiéj.
Nr. 36. Medalion na mankiet damski.
Nr. 37. Wstawka haftowana do męzkiéj koszuli.
Nr. 38.
Nr. 39. } Cztery medaljony na mankiety damskie.
Nr. 40.
Nr. 42.
Nr. 41. Część chustki do nosa haft na batyście.

*** Jakkolwiek dopiero 3ci Nr. **Nowin ze świata** z pod kierunku nowéj Redakcji p. Pieniążka mamy w ręku — z przyjemnością spostrzedz mogliśmy nie małe reformy, którym to pismo uległo. — Styl jasny i przekonywający, jakim przemawiać należy do naszego chłopka — oraz wybór stósownéj treści artykułów — przytém nazwiska, które spotykamy w rzędzie współpracowników, (jak Grzesia z pod Mogiły i Kazimierza Góralczyka) od razu zdobyły sobie całą sympatję dla „Nowin ze świata“ u czytelników.

*** Dnia 26. b. m. odbył się koncert amatorski pod dyrekcją pana Blaschke na korzyść Towarzystwa bratniéj pomocy tutejszego Uniwersytetu.

*** Mówiono nam, że zarząd hotelu Saskiego za wynajęcie sali na odczyt Dra Libelta, dany na korzyść Sybiraków — wziął tylko **pięćdziesiąt** złr. w. a. Równie słyszeliśmy (o czém z całą przyjemnością donosimy), że summę tę wypłacono nie z dochodu odczytu — ale z prywatnych kieszeni szanownych członków, którzy zajmowali się urządzeniem tego odczytu — za co niechaj nam będzie wolno wyrazić serdeczne — Bóg zapłać.

*** Występy p. Rapackiego na scenie warszawskiego teatru, coraz znakomitszy zyskują rozgłos. — Tygodnik Illustrowany umieścił parę recenzji o naszym artyście — gdzie sumiennie i szczegółowo rozbierając grę pana Rapackiego — przyznaje mu znakomity talent i zasłużone oddaje pochwały. — Jestto bardzo wiele, jeżeli artysta, który przybywa do stolicy nie poprzedzony europejską sławą — wstępnym bojem zdobywa sobie pierwszorzędne miejsce. Mamy przecież nadzieję, że wśród dymu pochwał i laurowych zdobyczy, nie zapomni pan Rapacki o przyrzeczeniu jakie nam dał — iż powróci do Krakowa, zkąd pierwszy oklask sławy rzucono mu na drogę artystycznego życia.

*** Streszczenie prelekcji W. Pola o ostatniém dziele Seweryna Goszczyńskiego p. t.: „Posłanie do braci“ — podamy w następnym Nrze.

*** **Wycieczka do Wenecji**. — Program podróży owarzyskiéj ze Lwowa do Wenecji: Dnia 3 maja o godz. 8 rano odjedzie ze Lwowa osobny pociąg towarzyski do Wenecji, który zatrzyma się w Krakowie od godziny 6 do 7 wieczór.

Dnia 4 maja o godzinie 8 rano przybędą podróżni do Wiednia gdzie pozostaną przez godzin 25.

Dnia 5 o godzinie 9 rano, zgromadzą się podróżni na dworcu kolei południowéj (Südbahn), zkąd odejdzie osobny pociąg do Trjestu. Między godziną 1 a 2, przebywać będzie pociąg przez góry Alpy w Semeringu. Obiad w Mürzzuschlag.

Dnia 6 o godz. 5 rano zatrzyma się pociąg w Adelsbergu, gdzie podróżni zwiedzą sławną grotę adelsbergską — jedyną w swoim rodzaju osobliwość w Europie. O godzinie 8 rano nastąpi przyjazd do Trjestu, gdzie podróżni zostaną godzin 16. O godz. 3. obiad wspólny w hotelu *de la ville*, a o godzinie 5 po południu nastąpi wycieczka morzem do zamku Miramare. O godzinie 12. w nocy wyjazd statkiem parowym do Wenecji.

Dnia 7 o godzinie 6 rano przyjazd do Wenecji, gdzie podróżni stósownie do większych lub mniejszych cen rozlokowani zostaną w hotelach: Europa, Danieli i Bauera.

Dnia 8 o godz. 10 rano solenne nabożeństwo w kościele św. Marka, zaś o godzinie 6 *bankiet w albergo della luna.*

W dniach następnych tj.: 9, 10, 11 i 12 zwiedzanie osobliwości Wenecji: jak pałac Dożów, galerje obrazów w Akademji, itp. tudzież wycieczki morzem na przyległe wyspy.

Dnia 13 nastąpi wycieczka do Florencji, Rzymu i Neapolu — w któréj każdemu zostawione jest do woli, brać udział, albo też powracać do kraju, dokąd powrót najpóźniéj do 2 czerwca b. r. jest dozwolony.

Bliższą wiadomość zasięgnąć można w Hotelu *National* w Wiedniu, i w *Albergo della luna* w Wenecji.

Dziennik „KRAJ“ wychodzi od 1. kwietnia r. b. **w zwiększonym** formacie.

Przedpłata miejscowa:

w Krakowie i we Lwowie w ajencjach naszych:

za kwiecień	złr. 2. c.	—
za kwartał do końca czerwca	złr. 5 „	—
od końca roku	„ 15 „	—

w Poznaniu w ajencji naszéj:

za kwiecień	Tal. 1 sgr.	5
za kwartał	„ 3 „	15
do końca roku	„ 10 „	15

Z przesyłką pocztową w całém państwie austryackiém:

za kwiecień	złr. 2 c.	25
za kwartał do końca czerwca . . .	„ 6 „	—
do końca roku	„ 18 „	—

w Prusach i Niemczech:

za kwiecień	Tal. 1 sgr.	15
za kwartał	„ 4 „	5
do końca roku	„ 12 „	15

we Francji i Anglji:

za kwiecień	10 fr.
za kwartał	27 „
do końca roku	81 „

w Belgji, Włoszech i Szwajcarji:

za kwiecień	7 fr.
za kwartał	20 „
do końca roku	60 „

Wszyscy nowi Prenumeratorowie otrzymają bezpłatnie, na żądanie, początek drukującéj się obecnie powieści Edmunda Chojeckiego p. t.:

„PRAKSEDA“.

Miejscowi Prenumeratorowie, życzący sobie odbierać tenże dziennik z przesyłką domową, raczą się zgłosić do księgarni *Józefa Czecha* jako ajencji naszéj i złożyć dopłatę miesięczną w kwocie 30 cnt. za odsyłkę w mieście, a 45 cnt. na przedmieście.

Korespondencja „Kaliny“.

P. **K. B.** we Lwowie. — Radzimy panu pracować daléj w tym kierunku. Widać talent, któremu brak jeszcze techniczn*ej* wprawy. Z chęcią dalsze prace odbierać będziemy — a gdy która odpowie warunkom — drukować będziemy.

P. **Ł. E.** z nad Warty. — Winszujemy sukcesów z parnasowych wycieczek, byleś pan nie zabłądził na wielką Niedźwiedzicę. Niezawodnie sława odszuka pana wraz z drukarzem, który podejmie się drukować pańskie rymy wodniste — na jakiéj konstelacji Syrjusa albo Oriona.

P. **K.** z Małego rynku. — Szanowny mój panie, zupełnie przeciwnego będąc zdania co Łapimuchy — humoreski pańskiéj drukować nie będziemy — ale zato możemy dać panu adres do jednego z Lwowskich pisemek, które ma bardzo przyzwoite imię „Szała wiły“.

Z powodu, że mody i kroje nie nadeszły jeszcze — po odebraniu ich z poczty — natychmiast zostaną Szanownym Prenumeratorom rozesłane osobno.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Bracka gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“ księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1869.